

Australijczycy nie tylko uważają, że leżą na marginesie świata. Oni są także przeświadczeni, że leżeć tam powinni. Nie interesują się za bardzo resztą świata i nie ma właściwie większego powodu, by reszta świata interesowała się nimi. To odludzie w każdym tego słowa znaczeniu, alternatywa wobec każdej innej formy ludzkości występującej na kuli ziemskiej.

Kiedy po przejechaniu kilkuset kilometrów Australii napotyka się pierwszy samochód jadący z naprzeciwka, a jego kierowca wysuwa przez okno otwartą w pozdrowieniu dłoń, to nie ma wspańskiego uczucia, niż odpowiedzieć w ten sam sposób. Ten gest oznacza bowiem: „Jesteś! Jak dobrze... Jesteś jednak!”

Brak ludzi determinuje zachowanie Australijczyków. Wystarczyło, że zatrzymałem się na chwilę na poboczu, a przejeżdżający obok kierowca od razu zrobił to samo.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał.

Australijski kierowca nie przejedzie obojętnie obok człowieka, który może mieć problemy. Chyba, że jest to road train.

Tą nazwą, po polsku powiedzielibyśmy „pociąg drogowy”, określa się w Australii ciężarówkę. Należałoby właściwie powiedzieć, że to drogowe monstra z niewyobrażalną ilością naczep. Na własne oczy widziałem road train z pięcioma, ale na zdjęciach wieszanych na stacjach benzynowych doliczyłem się nawet dziesięciu. Czy gdziekolwiek na świecie można spotkać podobne ciężarówkę? Australię przecina ledwie kilka dróg na krzyż i na dobrą sprawę nie ma nawet gdzie skręcić, więc jedzie się tylko prosto. Zawrótce na takiej drodze to dla lewiatana poważne wyzwanie. Road train nie może po prostu zahamować i kilkoma manewrami w przód i w tył zmienić kierunku jazdy. Kiedy kierowca pomyli drogę, musi jechać tak długo, aż napotka zatoczki zbudowane specjalnie do takich manewrów. Są one umieszczone przy drogach co jakiś czas. Przy czym „co jakiś czas” może oznaczać nawet i co 100 kilometrów. Można także liczyć na stację benzynową, równie rzadko spotykaną. Kiedy bestia tam zawraca, widok zapiera dech w piersi.

Kierowcy tych potworów zasługivaliby na osobny rozdział i pewnie bym im go poświęcił, gdyby mnie tak nie przerażali. Kie-

dy mijają się ich na drodze... Odwrotnie, kiedy oni mijają cię na drodze, wygląda to tak, jakby ciężarówka nikt nie prowadził. Kierowca ginie w umieszczonej wysoko, ogromnej kabinie, niczym sylwetka kangura na horyzoncie. Nie sposób go dostrzec, jakby człowieka w ogóle nie było. Australijskie Transformers, Decepticony z Nowej Południowej Walii.

Taki Megatron mijają mnie na trasie na północ od Adelajdy w Australii Południowej, na owiewanej potężną wichurą drodze. Robił to na pełnym gazie. Nie wiem, czy do końca zdajecie sobie sprawę z tego, co oznacza wielonaczepowa, monstrualna ciężarówka przemykająca prawym pasem – bo w Australii obowiązuje ruch lewostronny. Kierowca jechał w stronę Darwin; dokąd zresztą miałyby jechać – innego kierunku tam nie ma. Dyskretnie ustąpiłem potworowi miejsca, a powstały wir powietrzny zatrzęsł moim samochodem. Szczęśliwie trafiła się stacja benzynowa, więc zjechałem na nią. On również tam był, niczym w filmie Prześladowca Johna Dahla. Pamiętacie? Grupa dzieciaków z nudów zrobiła kawał kierowcy ciężarówki. Umówiła go na spotkanie w motelu z wymyśloną dziewczyną. Dużo śmiechu, zwłaszcza wtedy, kiedy kierowca się zirytował, wytropił ich i zaczął się rewanzować.

Skuliłem się więc ze strachu, starając się sobie przypomnieć, kogo ostatnio z kim umawiałem. Wówczas z kabiny ciężarówki wyłonił się kierowca. Prawdziwy, żywy człowiek w koszulce z siateczki, podziurawionych džinsach, z rozwianymi włosami i jakimś dziwnym obłędem w oczach. Poszedł do mnie, więc skuliłem się jeszcze bardziej. Zaczął coś mówić. Zrozumieć Australijczyka – to wyzwanie nawet dla kogoś po filologii angielskiej.

– ...fucking wind! – tylko to do mnie dotarło.

Czyli „pierdolony wiatr”. Jego słowa mogły jednak oznaczać coś zupełnie innego, na przykład flying hind – „latającą łanię”, bo tak mógł nazwać swojego drogowego kaijū.

Droga z Adelajdy do Darwin jest, jak wspomniałem, niczym wyprawa z Polski do Maroka. Przeszło trzy tysiące kilometrów. Road trains pokonują ją w około tydzień. Około, bo równie dobrze może to być dziesięć dni, dwa tygodnie, albo diabli tasmańscy wiedzą ile.

- Jadę do Darwin, kochanie.
- Kiedy wrócisz?
- Za kilka tygodni. Kto to może wiedzieć...

Stosunek do czasu jest w Australii wypadkową stosunku do przestrzeni. Czas jest tu wartością podobnie względną i nieokreśloną. Mam wrażenie, że to dzięki ogromnym odległościom Australijczycy nauczyli się podchodzić do niego z dystansem i nie przejmować się jednym czy dwoma dniami w tę czy tamtą stronę. Podobnie, jak nie przejmują się kilkuset kilometrami w tę czy w tamtą. W Australii Zachodniej jechałem w stronę Perth. Nagle – droga zamknięta, stoją strażnicy.

- Co się stało? – pytam.
- Busz płonie – odpowiedzieli, wskazując na horyzont. – Przejazdu nie ma. Musieliśmy zamknąć drogę.
- Kiedy otworzycie?

Alternatywą był szuter, czyli kamienie i pył zamiast asfaltu. Jednak jazda po szutrze była po pierwsze zabroniona przez wypożyczalnię samochodów, a po drugie – oznaczałaby podróż z prędkością może 30 kilometrów na godzinę na odcinku ponad trzech tysięcy kilometrów. Czyli dziesięć dni jazdy po kamieniach.

- Któż to może wiedzieć, przyjacielu? Może dzisiaj, może za tydzień. Zależy jak wiatr powieje – uśmiechnął się strażnik.

Jeśli zatem macie trochę czasu, zapraszam na podróż po Australii, w której więcej będzie zwierząt niż ludzi. Może potrwać kilka dni, około tygodnia, dokładnie nie wiem ile. To zależy od tego, jak wiatr powieje.